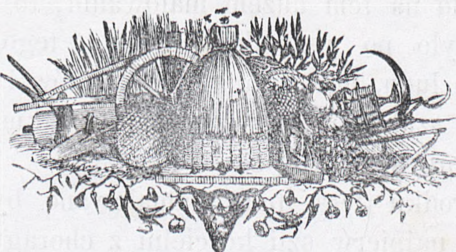
Tom XII.



Nr. 2.

11. stycznia **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

OJCOWIE TRYNITARZE.

W kościele żurawieckim, co jak ludzie opowiadają, już z jakich trzysta lat okrągłych stoi, jest duża i piękna zakrystya. W zakrystyi tej mnóstwo jest ksiąg starych, uczonych i nabożnych, i rozmaitych sprzętów i zabytków kościelnych co niemiara. Ale co już najpiękniejsze i najciekawsze, to owe stare, ogromne obrazy, co wiszą na wszystkich czterech ścianach zakrystyi.

Otóż przed temi obrazami stawali zawsze żurawieccy gospodarze i chłopcy, i przypatrywali się z wielką ciekawością rozmaitym historyom, co na nich były wymalowane. Szkolarze żurawieccy bywało po całych godzinach oglądają te malowania, ale nie każdy wiedział, co też one oznaczać mają.

Ale razu jednego rano dwóch najlepszych szkolarzy z Żurawca, Staś Ględa i Michaś Łagoda służyli xiędzu proboszczowi do mszy, a kiedy już służba boża się ukończyła i xiądz rozbierał się w zakrystyi, stanęli obaj przed jednym dużym obrazem, co prawie pół ściany zakrywał. Stanęli i patrzą a

patrzą, odpatrzyć się nie mogą, bo na tym obrazie jakaś bardzo piękna i dziwna historya była wymalowana.

Co zaś było na tem dużem malowaniu, to wam tu opiszę. Oto najpierw było po wszystkich bokach tego obrazu wymalowano mnóstwo ludu, mieszczanie, wieśniaków i wielkich panów w złocie i przy szablach, że wszystko to takie, że jeno aby się ruszyło, a przysiągłbyś, że to żywe.

Zaś po środku tego ludu namalowano było coś gdyby procesya. Bo to najpierw szli kościelni z chorągwiami i z krzyżem, a za nimi jacyś księża bosy, widać zakonnicy, w białych habitach, na których znowu wymalowane były niebieską i czerwoną farbą krzyże. A tak to było na tym obrazie uszykowane, że najpierw szło po dwóch takich zakonników w białych habitach a za nimi dwóch jakichś starców z siwemi brodami, ubranych ubogo i z wynędzniałemi twarzami, a potem znowu po dwóch zakonników, a za nimi znowu jacyś biedni ludzie i kobiety w rzędzie, i tak było to wymalowane na obrazie aż po drewniane ramy. A zaś wszyscy ci ludzie, co szli w parach za tymi zakonnikami w białych habitach, ubrani byli w jakieś obszarpane zamorskie suknie, i wyglądali tak, jakby z dalekiego świata wędrowali a z oczu im jakaś wielka radość patrzyła.

Owoż Staś i Michaś, jak wlepili oczy w ten obraz, tak patrzali i patrzali, aż xiądz proboszcz rozebrał się z szat kapłańskich i zapytał ich:

— A co wy tam tak oglądacie chłopcy?...

A oni na to:

— A proszę xiędza dobrodzieja, ten obraz, co na nim coś takiego wymalowane, gdyby procesya, jeno żeśmy jeszcze takich xięży nie widzieli, coby byli tak ubrani.

— A toć wy pewnie nie wiecie, co ten obraz przedstawia? — pyta xiądz proboszcz.

A chłopcy sobie:

— A jużci że nie, a proszę księdza dobrodzieja, radzibyśmy bardzo wiedzieć, co to takiego.

— Otóż ja wam opowiem — odpowiedział xiądz proboszcz — jeno posłuchajcie pilnie, abyście nie tylko sami wiedzieli,

ale i drugim na rozum wyłożyli, jak was się kto o to będą pytać. Ci xięża w białych habitach z czerwonemi i niebieskiemi krzyżami, to są ojcowie Trynitarze.

— A co to za ojcowie Trynitarze? — zapytali chłopcy.

— To tyle znaczy po polsku, co zakonnicy świętej Trójcy — mówi na to xiądz proboszcz. Byli to tacy sami xięża i zakonnicy, jak OO. Bernadyni, Franciszkanie albo inni, jeno że za dawnych czasów mieli oprócz modlitwy i chwały Bożej także inne, bardzo ważne zatrudnienie.

— A cóż oni robili? — zapytali chłopcy.

A xiądz proboszcz mówi:

— Dawnemi czasami, kiedy jeszcze Turcy i Tatarzy napadali na naszą Polskę, i dużo z sobą biednych ludzi wlekli w niewolę, to ci zakonnicy chodzili w kraje pogańskie i wybawiali z ciężkiej niewoli tych biedaków. A tu na tym obrazie akuratnie jest wymalowane, jak Ojcowie Trynitarze wracają z ziemi pogańskiej do Lwowa i prowadzą z sobą tych niewolników z ciężkiej nędzy na tatarskiej i tureckiej ziemi. Oto patrzcie na ten obraz, te biedne ludziska, co idą za tymi zakonnikami w białych habitach, a tak nędznie wyglądają i taki dziwny, zamorski ubior mają na sobie, to są ci wyratowani przez xięży Trynitarzy niewolnicy polscy.

A chłopcy pytają:

— To xięża Trynitarze umyślnie chodzili w kraje pogańskie za tymi biedakami?

— A nie inaczej — mówi na to xiądz proboszcz — całe życie obracali Trynitarze na to, aby uwalniać Chrześcian z mocy pogańskiej. Toć słyszeliście już nieraz, że dawnemi czasami Turcy i Tatarzy napadali często naszą ziemię polską, palili i mordowali, a jak na nich wojsko polskie uderzyło, to uciekali co prędzej i pędzili jak wiatr po polu a po drodze zabierali z wsi i miast polskich gospodarzy i kobiety, chłopców i dziewczęta, i tam potem w swoim kraju w wielkiej nędzy i biedzie trzymali. Otóż dla tego był ten zakon św. Trójcy, czyli xięża Trynitarze, aby potem chodzić w pogańskie kraje i ratować tych nieszczęśliwych Chrześcian polskich z niewoli.

*

A chłopcy zapytali znowu:

— A czy poganie tym xiężom Trynitarzom wydawali dobrowolnie połapanych Polaków, tak jeno za dobre słowo?

— Oj nie tak to bywało — mówi na to xiądz proboszcz — xięża Trynitarze mieli z poganami ciężką biedę. Bo to poganie jak jakiego Chrześcijanina w swą moc dostali, to już go do śmierci puścić nie chcieli. To też xięża Trynitarze, jak szli w te kraje, gdzie Turek siedzi, to brali z sobą dużo pieniędzy i wykupywali za wielki grosz tych polskich niewolników, i o każdego targować się musieli dobrze z takim Tatarem lub Turkiem, nim się poganin na pieniądz złakomił i Chrześcijan xiężom odsprzedał. Za niejednego Polaka co go Turcy w swych pogańskich rękach, jak w szponach djabelskich trzymali, to ci zakonnicy zapłacić musieli nieraz i sześćset złotych.

— A zkądże oni tyle pieniędzy brali? — zapytali chłopcy.

A xiądz proboszcz na to:

— Dawali im te pieniądze królowie polscy i rozmaici polscy panowie.

— A jakże się oni rozmawiali z poganami, kiedy ani Tatarzy ani Turcy po polsku gadać nie umieli? — pytają chłopcy.

— Ojcowie Trynitarze — rzecze na to xiądz proboszcz — umieli dokumentnie gadać po pogańsku, to jest po turecku i tatarsku, i rozmówili się z każdym bisurmanem tak gładko, jakby z własnym krajanem.

— A czy często chodzili ci zakonnicy w pogańskie kraje i czy dużo ztamtąd przyprowadzali połapanych Polaków? — pytali chłopcy.

— Ojcowie Trynitarze — odpowiedział xiądz proboszcz — chodzili tam co kilka lat i zawsze wykupywali po kilkadziesiąt takich biedaków od Turka, ile im tylko grosza starczyło, bo to jak wam już mówiłem, poganie kazali sobie okrutnie płacić za niewolników.

— A kto też to proszę xiędza dobrodzieja, ustanowił w Polsce zakon Ojców Trynitarzy? — zagadnęli chłopcy.

A xiądz proboszcz na to:

— Zakon Trynitarzy ustanowił w naszej Polsce sławny król polski, o którym już nie raz i nie dwa razy słyszeliście,

król Jan III Sobieski. Kiedy ten sławny król polski wyratował Wiedeń od Turków i tłuszcze pogańskie rozprószył jak plewę, że się to potem nigdy na ludzkie nieszczęście nie zebrało, to wysłał potem zaraz kilku panów polskich w poselstwie do Rzymu, do Ojca świętego, co się zwał Innocenty, aby mu dać wiadomość dokumentną o tem swojem wielkiem zwycięztwie i o wyratowaniu Niemców i chrześciaństwa od plagi pogańskiej i aby mu posłać w podarunku wielką chorągiew pogańską, co ją Turcy mieli za świętą, a którą nasz król Jan im odebrał. Otóż kiedy ci posłowie polscy przyjechali do Rzymu, to już tam istniał taki zakon trynitarski do wykupywania Chrześcian z niewoli pogańskiej. To się bardzo panom polskim podobało i zaraz im przyszło do głowy, żeby się tacy zakonnicy przydali bardzo dla Polaków, aby także ratowali tych biednych Chrześcian z polskiego kraju, co popadli w ręce tatarskie albo tureckie. Zaś ci Trynitarze, co byli w Rzymie, pochodzili z bardzo dalekiego kraju, aż z Hiszpanii. Panowie polscy zaraz o tem dali znać królowi Sobieskiemu, a ten kazał kilku takich xięży sprowadzić do Polski. Zaraz też przyjechali a król Sobieski fundował im klasztor we Lwowie. Potem przystało do tego zakonu wiele naszych Polaków, i ci Ojcowie Trynitarze pobudowali sobie potem dużo klasztorów w Polsce a już to najbardziej w tych stronach, gdzie najwięcej napadali poganie, to jest między Rusinami.

— A czemu to teraz nie ma u nas Ojców Trynitarzy? — zapytali chłopcy.

— Bo to widzicie — prawił na to xiądz proboszcz — od czasu kiedy król Jan Sobieski zniszczył pod Wiedniem wojska tureckie, to już potem poganie nie pchali się tak na ochrzczoną ziemię. Więc też ustały rozboje i napady tureckie i tatarskie i już nikt nie popadał w niewolę pogańską. To też już coraz mniej fundowało się klasztorów trynitarskich, ale zawsze ich jeszcze kilka zostało. Kiedy jednak Polska dostała się pod obce panowanie, to te klasztory Ojców Trynitarzów pokasowano wszędzie i już ich teraz nie ma. A teraz już wiecie, co na tym obrazie namalowane, i co byli za jedni ci xięża Trynitarze, pamiętajcież to sobie i rozpowiedzcie i drugim, jeśliby kto o to pytał.

Obaj szkolarze pocałowali xiędza proboszcza w rękę i podziękowali pięknie za rozpowiadkę, a gdy wrócili do domu, to opowiadali to ojcom i innym ludziom, co słyszeli o zakonnikach, co się zwali Trynitarze.

Wojtek ze Smolnicy.

Pieśń do Bogarodzicy.

(Na nótę „Bądź pozdrowiona, Panienko Marya“.)

Bogarodzico! Najświętsza Marya!
Niechaj Twa łaska prośbie naszej sprzyja,
Ciebie o Pani naród polski wzywa,
Tyś jego matka, matka litościwa!

Królowo Polski! Tyś ją ukochała,
Tyś na nią zdroje łask swoich wylała,
Z nad Częstochowy, Poczajowa, Wilna,
Zawsze ją strzegła Twoja ręka silna.

I dziś o wejrzyj na ziemię kochaną,
Rozmaitemi klęskami nękaną,
Nie puść jej, nie puść z twej świętej opieki,
Jak królowałaś tak króluj na wieki!

Daj, by lud polski był cnotliwy, prawy,
Aby strzegł zawsze Twojej świętej sławy.
Użycz mu dawnej ducha pobożności,
I ducha wiary i bratniej miłości.

Niech zawsze w niebo do Ciebie spogląda,
I Twej pomocy o Matko wygląda,
Niech nie 'popada w żadne powątpienie,
Wlej weń nadzieję, cierpliwości tchnienie

Uzbrój go Panno męztwem i stałością,
By walczył śmiało z wszelką przeciwnością,
By jako pierwej duszą mężną słynął,
Za wiarę świętą krew dawał i ginął.

Daj, by się nigdy nie kalał grzechami,
By cnotliwemi szedł zawsze drogami;
Użycz mu światła konieczne poznanie
Nieprzyjaciołom daj opamiętanie.

Wstawiaj się za nas, o Matko jedyna!
U Boga Ojca i u Twego Syna,
A gdy skończymy ten żywot niestały,
Przyjmij nas, przyjmij do niebieskiej chwały! Amen.

Wincenty z Podkamienia.

Historya o Bazylim i jego ukaraniu.

Opowiedział Józef z Bochni.

Przed dwoma miesiącami pojechałem ci ja do tych gór ślicznych, które się Karpatami nazywają. Napatrzyłem się różnym potokom górskim, co w wielkim na ziemię spadają pędzie; samotnym wioseczkom, których domki czasem na niedostępnych zdaje się stoją skarpach i urwiskach, przekonałem się jak tam mozolnie muszą uprawiać ludzie swoje pola, a i tak nędzne prowadzą życie.

Powracając już do domu, zajechałem przed wieczorem do jednej wioski, która jakoś niedaleko leży od Krynicy, gdzie to chorzy jeżdżą ludzie, aby pokrzepić swoje zdrowie.

Kiedy wjeżdżałem do onej wioski, zdumiałem się cokolwiek, gdym obaczył piękną kapliczkę przy drodze i zaraz mię ciekawość zebrala dowiedzieć się kto ją to postawił?

Na moje szczęście gdym sobie chodził około kaplicy i dumał nad nią, nadszedł ku mnie jakiś gazda nieznajomy, więc go zaraz pozdrawiam po chrześciańsku i pytam:

— A nie wiecie wy też, kto to postawił tę kapliczkę?

Na to powie góral z uśmiechem:

— Oj toć przecie w naszem siele wie o niej każde dziecko a dlaczegożby i ja nie miał wiedzieć? Ale o niej także długa jest historya, więc ją trudno tak na poczekaniu opowiedzieć.

Rozciekawił mię gazda jeszcze bardziej, owoż zaraz powiadam do niego:

— Jeśli żałujecie mitręgi, to wam za to dam na tytoń, a opowiedzcie mi co wiecie o tej kapliczce, a może będzie coś takiego, z czego się człek czegoś nauczyć może. Przecież tego nie powinniście odmawiać nikomu, tem bardziej kto ma wiedzieć ochotę.

A góral odpowie:

— A toć usiądźmy sobie tu pod tą lipą, a ja wam opowiadać będę, i spodziewam się że i drugim opowiecie to zdarzenie.

Tu schował góral fajeczkę do torby przy boku wiszącej, odkrząknął sobie, poprawił kapelusza na głowie i długich swych włosów, i tak jął mi opowiadać:

Przed niewielu laty, bo nawet ja, choć nie bardzo jestem stary, pamiętam sobie dobrze, jak w naszej wiosce żył Bazyli Kutrzeba. Był ci sobie z niego chłop smagły jak jodła a bitnik jakichby daleko szukać potrzeba. Nie było wesela, na którymby nie był Bazyli, boć też i zaśpiewać umiał od ucha, a niejednej dziewusze tak umiał zajechać do serca, że duchem lgnęła do niego jak nieprzymierzając mała ptaszyna do lepu. Ale nie było także żadnej w karczmie muzyki, nie było napitku po jarmarku, żeby na nim nie był Bazyli; a gdy sobie nalał w pałkę, zaraz łamał stoły i stołki, wszczynał istną bójkę i rzadko poszedł bez sińców i guzów do chaty.

Różne też włóczęgi byli jego kompanami, co go w takich przytrafunkach popierali, a on im za to płacił gorzałkę i częstował ich słoniną, którą mu zawsze na drogę wyładowała torbę jego poczciwa żona.

— I to on miał żonę? — zapytałem gazdę.

— O miał ci żonę, ale do tego jaką żonę! — powiedział na to gazda — kobiecisko to po całych dniach pracowało w domu, zaglądało do każdego kącika, krzątało się koło chaty — ale cóż pomoże praca biednej żony jak mąż także swoich rąk nie dołoży i do tego niszczy każdy grosz przysporzony!

Bazyli nie dbał o to zupełnie, odchodził sobie żony, odchodził małego chłopca, którym Bóg pobłogosławił jego chatę, i nieraz to go i tydzień nie było w domu.

Kiedy zaś nigdzie nie wychodził, Bazylowa myśląc że już statkować zaczyna, przychodziła ku niemu i mówi do niego z przymileniem:

— Moj Bazylku kochany! pocóż będziesz jeszcze chodził po tych karczmach i spijał to obrzydłe wódczysko?... Widzisz jak to miło siedzieć w domu, a daleko będzie milej jak się weźmiesz do roboty, narobisz dzwon, podkulków i okleszczyn, sprzedasz na jarmarku, to i bieda jakoś odleci i będziemy sobie żyć spokojnie.

— A to sobie tam rób sama dzwona i podkulki — odfuknie Bazyli — ja cię mam od tego, abyś robiła w chacie, a mnie wolno robić, co mi się podoba!

Na to powie Bazylowa łagodnie:

— A tak, tak, robota w karczmie to ci się podoba! poschodzą się włóczykije, spijecie się jak bydlęta, a potem robicie swary i kłótnie. Ja ci powiadam, że tobie kiedy wygarbują skórę, że ruskie nie zapomnisz lato.

— Ja się ani piętnastu chłopów nie boję — odmruknął Bazyli — albo to nie znasz mojej ręki?... Jak gwizdnę — tobym chłopem karczmę przerzucił, więc takie gadanie schowaj sobie do torby i kwita!

— Ej mój drogi — przemówi znowu żona — nie tacy byli na świecie, a przyszło im na koniec; a cóż to już nad ciebie nie ma być nikogo?... Nie bądź takim zarozumiałym, weź się lepiej do pracy, kiedy masz takie siły, bo przecież i dla Pawełka będzie potrzeba. Może go oddamy gdzie do ludzi, a może i do szkoły go poszlemy.

— A stulże już gębę, przeklęta gaduło! — wrzasnął Bazyli — a daj mi już spokój, bo mi twoje brzęczenie bokiem wyłazi!

Trzasnął drzwiami i wybiegł przed chatę, przed którą wzdłuż leżało grube drzewo. Usiadł sobie na nim i zaczął dumać o różnych rzeczach. Księżyc powoli sunął się po niebie, gwiazdki błyszczały przyjemnie, cichy wietrzyk szeleścił listkami, toć też nie długo Bazylemu zrobiło się jakoś markotno i wnet westchnął sobie po cichu:

— Prawda!... dobrze mówi moja żona, trzeba koniecznie zabrać się do jakiej pracy, bo takie życie nudzi mię po trosze, a jakże to będzie na potem, kiedy nie stanie dobytku i...

Wtem zaszczekał pies koło stajni, Bazyli zerwał się prędko z siedzenia i poszedł do chaty.

Raniutko ledwie słońce rozwidniło świat Boży, przychodzi Bazyli do swojej żony i tak jej powiada:

— Rozważyłem dobrze twoje wczorajsze gadania i dla tego myślę od dziś dnia odmienić moje życie. Nim człowiek na nowo nawyknie do pracy koło chaty, muszę się tymczasem wziąć do innego interesu. Umyśliłem więc tak zrobić jak robią Jaśko Pietrosza, Migas i Kiryło. Wiesz ile oni to zarabiają na orzechach, kasztanach, bryndzy i innych drobiazgach, które z Węgier tutaj przywożą i po targach w różnych miastach sprzedają. Więc daj mi te czterdzieści reńskich, które mamy na schowku, a w krótkim czasie przybędzie drugie tyle, kupi się znowu gratów do gospodarstwa, ja się wezmę do roboty i dobytek wstanie na nogi!

Bazylowa aże podrygała z radości, że jej perswazye tak trafiły do serca Bazylego, owoż z wielką ochotą wyjmuje ze skrzynki zawinięte pieniądze i oddaje je mężowi.

Bazyli co rychlej ubrał się w drogę, Bazylowa zaraz go błogosławi i mówi:

— A pamiętaj zaś nie zrobić mi zmartwienia, spraw wszystko jak najlepiej, a ja cię kochać nie przestanę do zawarcia moich powiek. Pamiętaj, gdybyś miał bez niczego powracać do domu — to lepiej nie pokazuj się na moje oczy. Oto dziecię nasze... dla niego przysparzaj grosza, ono nam kiedyś odpłaci te nasze trudy, i zabiegi; idź więc niech cię Bóg prowadzi i szczęście na drodze!

Roztkliwił się Bazyli na te słowa, czule niby rozstał się z żoną — ale wyszedłszy za chatę jak poczuł, że ma pieniądze w pasie, raźniej mu się uginały nogi, które go też szczęśliwie zaniosły do jednego z jego znajomych, który miał z nim iść do Węgier.

— A co gotóweś już do drogi? — zapytał Bazyli — Patrz, mnie już kobieta wyprawiła uczciwie z chaty... będzie też przekąska i napitek w drodze...

— O to wyśmienicie! — przerwał Onufry, kompan Bazylego — będzie nam dziarsko ubywało drogi. Poczekaj tylko niech swoje graty zawiążę w tobołek!

I sprawił się nie długo Onufry i poszedł w drogę.

— A dokąd to tak suniecie? — zapytał ich jakiś gazda.

— A do Węgier na kupno — odpowiedział ogniście uszczęśliwiony Onufry.

A gazda zaraz na to:

— A tak, tak, do Węgier właśnie wyborna taka wyprawa! A gdzie wózek, gdzie konie, hę?

— Nie mać to u nas siły? — odparli spekulanci — Jak ta jakich szkapiąt będzie nam potrzeba, nie wielkie ceregiele wynająć od kogo.. I jeszcze nad tem łamalibyśmy sobie głowy!... Chodź Onufry, co mamy długo gadać!

— Dobrze, dobrze, idźcież sobie spokojnie — rzeknie gazda — a patrzcie końca!

Spekulanci ani pisnęli na to, szli wielkim krokiem i myślałby nie jeden że po jakim ważnym idą interesie. Aż tu ledwie uszli ze cztery mile, przystanął Onufry i powiada do Bazylego:

— Wiesz co, wstąpmy oto do karczmy, przejemy po kęsie chleba, ta i łykniemy po kieliszku gorzałki. Zmęczyliśmy się i tak co prawda doskonale, a na cóż mamy mieć do tego puste żołądki...

— Aj dobrze — odpowie Bazyli — przecież czasu mamy na tyle a dnia jeszcze spory kawał, nie zawadzi wstąpić.

I wstąpili do karczmy, żyd ich przywitał, a nawet Bazylego zaraz wójtem nazwał.

— I cóż mam podawać panie wójcie — zagada żyd — mam piwko i wódkę przepyszną, co warta gęby, a i jajka na twardo gotowane mam świeże i gęsinę prosto z rożna zdjętą — cóż pan wójt rozkaże?

— A czy cię biesi opętali obmierzły żydzie — zawołał Onufry — dawaj po kieliszku sznapy a nie bełkocz nam za uszami, bo cię palnę tą oto lagą!

— A witam, jak się macie moiściewy kochani! Zkądże to idziecie? Jużem was kopę lat nie widział — odezwał się do nich jakiś zawalidroga z za stołu co stał przy oknie.

— Ta to Bigaj Bazylku! — wykrzyknął znowu radośnie Onufry — a chodźmyż do niego, siądźmy sobie razem, a pogwarzymy dobre słówko....

I jak zaczęli gwarzyć, opowiadać, całować i ściskać, Bazyli na piękne zapomniał o drodze do Węgier, płacił wódkę i przekąski jedną po drugiej i nareszcie popili się jak niebo-skie stworzenia. Nowy przyjaciel spadł pod ławę, Onufry na stole zasnął snem słodkim, a Bazyli wyszedłszy na pole, przewrócił się przed stajnią i leżał jak bez duszy.

Przyszedł też jakiś rzezimieszek niby na ratunek ku niemu, a widząc że pieniądze leżą koło niego, pozbierał je prędziutko, niebawem zajrzał i do torby i wybrał mu co do grosza. Było to jakoś przed wieczorem.

Bazyli obudził się po chwili, idzie zaraz do karczmy, patrzy, a tu Onnfry leży w bajurze, taki obabrany błotem, że mu samemu niedobrze się zrobiło na języku.

Ocucił Onufrego i zabierają się w drogę. Naraz zagląda Bazyli do torby, a gdy nie znalazł pieniędzy, wrzasnął na całe gardło.

— O Matko Boska! cóż ja teraz pocznę sobie nieszczęśliwy!

Potem zaczął robić hałasy, przeklinał na czem świat stoi, ale któż winien, że mu ktoś ukradł pieniądze. Żyd czując, że ani Bazyli ani Onufry nie mają pieniędzy, wypędził ich z karczmy.

Na drodze powiada Bazyli do Onufrego:

— Nie wiem co mi przyjdzie teraz zrobić. Jak przyjdę do domu bez niczego, nie pokażę ani pieniędzy ani kupna, żona się zamęczy, a ja przyobiecałem jej poprawę!

— Wiecie co, kochany Bazylku! — powie Onufry — musimy tak sobie postąpić; a dobrze zrobisz, gdy usłuchasz mojej rady. Otóż wiem ja o jednym kościele, w którym różne są kosztowności, chodźmy więc do niego, zabierzmy co nam się uda, jutro żydom sprzedamy i ani pies nie dowie się o tem.

Zadumał się Bazyli, wreszcie przystał na gadanie Onufrego i poszedł za nim.

Jużcić nie trzeba gadać, że Onufry ladaco będąc już z profesyi zdybem, znał wszystkie przesmyki i wykręty. Zaprowadził Bazylego do kościoła, pokradli co mogli i uciekli czemprędzej nocą do jakiegoś miasteczka i żydom pozbyli one skradzione rzeczy. Podzielili się kradzieżą na połowy i powrócili nazad do swojego sioła.

— A to dopiero miał twarde sumienie ten Bazyli — powiedziałem ja do gazdy.

— Ale cóż to wszystko znaczy — odrzekł gazda — kiedy sprawiedliwa ręka Boska wcześniej czy później dosięgnie niegodziwca.

Tu odpoczął sobie gazda, westchnął głęboko i jął mi dalej opowiadać:

Gdy Bazyli przyszedł do domu, żona zadziwiona nie widząc niczego, zaraz go pyta:

— A cóż to mój Bazylku znaczy, żeś tak prędko powrócił? Czy cię co spotkało w drodze? Czy ci przypadkiem nie zginęły pieniądze?

I różne zadawała mu pytania, a Bazyli jakoś niespokojny i nie w swoim sosie poskrobał się w głowę i powiedział:

— Ej pieniądze mi nie zginęły, ale widzisz moja kochana, w drodze usłyszałem, że na Węgrach teraz bardzo drogo, więc nie opłaci się iść za towarami, bo człowiek może na nich stracić, a na cóż jeszcze mitręga i fatyga?..

I zmyślał jak mógł Bazyli przed dobrą żoną, która też wszystkiemu uwierzyła i pyta go znowu:

— A gdzież pieniądze, coś wziął na kupno?

A Bazyli kiwnął głową, sięgnął do kieszeni i powiada:

— Ta masz twoje pieniądze! — a kiedy je podawał swojej żonie, podrygnęła mu się ręka i pieniądze się rozsypały.

A żona zaraz na to:

— Ej to jakaś wróżba niedobra, a dziwi mię co się tobie stało?...

— I cóżby mi się stało?... takie to te pieniądze djabelskie — odmruknął Bazyli i wyszedł do ogrodu.

I od tego czasu na nowo żył sobie po dawnemu. Żona pracowała, Pawełek jej pomagał, a Bazyli z kompanami spędzał dni i nocy w karczmie i Bóg wie w jakich miejscach. I nie długo potrafiła tak pracować miła kobiecina, rozniemogła się jednego dnia na piękne i ani myśli o prędkiem wstaniu.

Jużcić na taki sposób gospodarstwo bez gospodarza i gospodyni upadało z dnia na dzień coraz bardziej, grosz z kalety wychodził do apteki, sługi nie robiły jak się patrzy, pa-

robek poszedł sobie na cztery wiatry, za nim Magda i Reśka, została się tylko sama żona i mały Pawełek.

Nie długo zwąchał Bazyli, że to słuszna kara Boska jego chatę nawidzać zaczyna, boć sprowadził niebłogosławieństwo Boże, i nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, stracił się cichaczem z rodzinnego sioła i nie pokazał się już więcej.

Co się dalej stało, opowiemy wam w drugim numerku.

Piękne przykłady.

Gromada Grodowicka.

Każdy czyn piękny, czy on był zrobiony dawno czy teraz, czy na polu chwały, to jest na wojnie, czyli w zaciszu strzechy, czy to jednego człowieka, czy całej gromady — powinien być wspominany i swoją pochwałę odebrać.

Otoż taki czyn piękny zrobiła przed parą latami gromada we wsi Grodowicach, w cyrkule Samborskim, co tak było:

W tej wsi był bardzo dobry dziedzic, który zeszedł nagłą śmiercią, zostawiwszy kilka już wydanych córek. Ale jak to wiecie, u państwa bywa, że jedna córka pójdzie za mąż w tę stronę, druga w tamtą. Tak też i tu było, jedna panienka poszła za mąż aż za Kraków; a musiała być bardzo dobra pani, bo ją gromada wielce kochała

Otoż jak się te siostry po śmierci ojca do domu zjechały, to po długiej naradzie umyśliły, aby chcąc się majątkiem podzielić,· co na nie spada, aby mówię tę wieś sprzedać.

Jak się gromada o tem dowiedziała, to jej się bardzo żal zrobiło, że już nie będzie mieć u siebie rodziny tych dobrych panów swoich. Zebrali się więc co starsi z gromady i przyszli do tej pani z za Krakowa i jęli ją prosić, aby ich też nie odstępowała i wzięła wieś na siebie; a kiedy ona się wymawiała, że ją na tyle nie stać, aby swoją mocą rodzinę spłaciła i gospodarstwo prowadziła, to oni dobrzy ludkowie powiedzieli jej, że jeżeli ona pozwoli, to oni się na nią złożą, czem będą mogli.

— Ta cóż wy byście mi, moi poczciwi ludzie, pomogli? kiedyście sami biedni! — spytała się pani.

— Ot nie turbujcie się pani — odrzekli -- damy co mamy. Nie będziemy mogli pieniądzmi, to damy dobytkiem. Jeden da konia, drugi krowę, tamten jałówkę, a kto już nie ma i tego, to choć kur parę, i tak zapomożemy panią, byleś jeno przy nas została.

Na taką mowę poczciwych ludzi rozpłakała się pani z czułości i podziękowała im pięknie, nie przyjęła jednakże tych ich darów, bo jej interesa nie pozwoliły tam pozostać i musiała powrócić za Kraków, gdzie jej małżonek objął inną gospodarkę ale ta dobra chęć i dobre serce poczciwych chłopków wiecznie w jej pamięci pozostaną.

O, ta chęć dobra tej gromady, jest ona tam zapisana i u Pana Jezusa w niebie, bo nic tak Bóg nie lubi, i za nic takiego hojnego nie zlewa błogosławieństwa, jak za to, kiedy się tu ludzie między sobą kochają. O wierzcie mi, wierzcie, moi kochani, gdyby ta miłość nasza ku bliźnim była doskonałą, była taką, jaką jej Pan Bóg od nas wymaga, już tu mielibyśmy raj; a nawet nasza ziemia, to by nam po 10 kłosków na jednem zdzieble wydawała, jak to mówią, że był przed laty taki czas, co się zwał złoty, co się takie kłóski rodziły dla tego, że była miłość wspólna między wszystkimi ludźmi, a więc błogosławieństwo Boże na całą ziemię spadało!

Ludka z Myślenic.

RÓŻNOŚCI.

Niedźwiedzie księcia Radziwiłła. Kiedy w Polsce ostatni król polski panował, żył na Litwie wielki pan, co miał niezmierne majątki, książę Radziwiłł, co go ludzie nazwali Panie kochanku, bo te słowa zwykł był zawsze powtarzać, jeśli co opowiadał lub do kogo mówił. Owóż ten książę Radziwiłł lubił bardzo polowanie, a osobliwie żywe niedźwiedzie, których na swoim dworze mnóstwo trzymał. A były to same uczone niedźwiedzie, co nikomu nic złego nie zrobiły, jeno tak nieraz posługiwały gdyby ludzie, bo też książę założył był osobną szkołę w Smorgoniu, gdzie tych niedźwiedzi rozmaitych sztuk wyuczano. A bywało niemało

napłatał książę Radziwiłł figli temi niedźwiedziami. Kiedy jakiego Niemca z zamorza spodziewał się u siebie, zaraz w oznaczonym czasie, gdy wiedziano, że się zbliża, służba dworska i czeladź znikała. W bramie stało dwóch niedźwiedzi ogromnych białoszyjków z wielkiemi pałkami, na ganku i w sieniach toż samo. Zdarzyło się w on czas, że zaprosił do siebie sławnego Włocha doktora. Włoszysko, co nigdy nie widziało naszych niedźwiedzi, ledwie wjechało w bramę, aż tu zamrukną niedźwiedziska, podniosą się na dwóch łapach z pałkami. Pan Włoch mało nie umarł. Idą dalej: nikogo z ludzi nie widać, doktor się żegna i modli. Wchodzą na wyniosły ganek, stoją niedźwiedzie — do sieni — tu rzędem dwanaście stoi — to było dla Włocha za wiele. Zbladł jak Piotrowin z grobu, a dworzanin wniósł go prawie do komnaty.

— Panie kochanku — rzekł książę Radziwiłł do Włocha, ja innej służby nie mam; u mnie wszystko zastępują niedźwiedzie, służą za czeladź i jeżdżę niemi.

Zaledwie Włoch ochłonął nieco i orzeźwił dobrem winem, dano do stołu. Pan wojewoda zasadził doktora przy sobie i po pierwszem daniu radzi mu książę Radziwiłł odmienić talerz. — Włoch obraca się z nim, i widzi wielkiego niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach za krzesłem z talerzem czystym pod pachą

To go dobiło, zbladł i zemglał — długo mu nos kręcono, nim przyszedł do siebie. Od onej doby już więcej tam nie zajrzał. Miał ten książę Radziwiłł także powóz, który cztery niedźwiedzie ciągnęły, a jak gdzie niemi pojechał, to było strachu, a potem śmiechu i dziwowiska, co niemiara.

Żywego djabła, kosmatego i z rogami, oprowadzano niedawno w mieście Rawiczu w Poznańskiem i osadzono w areszcie. Przyszedł on o północy do pewnego chłopa we wsi Górce, i chciał wziąć dziecko jego niechrzczone. Był cały obrosły i miał ogon krowi i rogi wołowe. Gdy rodzice się wylękli i o dziecko prosili, zażądał pieniędzy. Ojciec dał co miał, lecz djabel nie kontent, żądał więcej. Ponieważ reszta była na górze schowana, więc tam wyszli ojciec z djabłem przy latarni. Ale właśnie nadjechał żandarm i myśląc, że ogień pod dachem, przybrawszy kogoś wszedł do domu i prosto udał się na górę. Ujrzawszy owego rogacza, pyta, kto on jest? Ten mu odpowiada, że djabeł z piekła. Żandarm do niego, lecz ten się odsadzi i rogami uderzy żandarma, tak iż go wywrócił. Żandarm przecież natarł na djabła pałaszem i w ramię go skaleczył. Kiedy djabła złapali, pokazało się, że to sąsiad tego chłopa tak się przestroił, żeby mu wydrzeć pieniądze. Związano go i jak był w wołową skórę obszyty z rogami, zaprowadzono do Rawicza, gdzie go po mieście za białego dnia oprowadzali, a potem sądowi oddali i do więzienia wsadzili.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: **E. Winiarz.**